

Jednym z najciekawszych zjawisk polskiej kultury przełomu XIX i XX wieku była fascynacja Tatrami i podhalańską góralszczyzną. Najpiękniejszymi pomnikami tej fascynacji są dwa dzieła Stanisława Witkiewicza (ojca): styl zakopiański i reportaż „Na przełęczy”, wydany po raz pierwszy w 1889 roku, nazywany przez następne pokolenia „Ewangelią Tatr”. Przeczytaj proszę tekst i spróbuj odpowiedzieć na pytanie: co wartościowego i wyjątkowego widzieli Polacy w Tatrach i Góralach? Będzie to podstawą naszej o tekście rozmowy.

Celowo nie zmieniałem oryginalnej, pełnej uroku pisowni wielkiego Stanisława Witkiewicza.

## **Stanisław Witkiewicz, „Na przełęczy”, Kraków 1963. Fragmenty**

### **A. O góralach**

Co za typy!

Zdaje się, że tu przeszła jakaś nawałnica ludów, ras rozmaitych, zostawiając dotąd odradzające się pierwiastki najróżnorodniejszych odrębności indywidualnych, występujące z całą siłą i czystością swych cech szczególnych, lub też zmieszane w sposób najsprzeczniejszy i najdziwniejszy.

Na tle dwóch krańcowych typów: jednego o wąskiej długiej twarzy, garbatym nosie, wielkim czole, rysach wykończonych, skórze delikatnej i długich czarnych włosach, drugiego o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach, płowym włosie i jasnych oczach — na tle tem przesuwają się cała galeria charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna do karykaturalnej brzydoty.

Tu, potrząsając długiemi, czarnemi, ociekłemi masłem włosami, przechodzi prawdziwy apasz amerykański, spalony od słońca, ze spojrzeniem odważnym i dzikim, z ustami surowo zaciśniętymi. Tam ta sama twarz wyciąga się w garbaty nos owcy, patrzy sennemi oczyma i kurczy płaczliwe usta. Tu wygolony markiz wersalski, z wykwintnym uśmiechem, z ruchami, pełnemi eleganckiej powagi, dumy i grzeczności, z pewnym odcieniem pobłażliwości uchyla kapelusza. Tam znowu opasty prałat rozmawia z jakimiś figurami drewnianemi gotyckich świętych, które, zdaje się, że tylko co zeszyły ze średniowiecznego ołtarza. Tu senny i smutny orzeł z tęskniami oczyma siedzi zadumany obok wesołej i sprytnej twarzy polskiego chłopa, który z pod płowego wusa śmieje się z jakiejś poczwary, na której twarzy zdaje się skupiać złość, wściekłość, zawiść i podejrzliwość z całego Podhala. Tam twarz mędrca z ogromnem sklepieniem czaszki, okolona długim, białym włosiem, patrzy łagodnie i rozumnie, — ówdzie ruszają się karykatury, mogące ozdabiać rączki lasek i parasoli.

Twarze te rzeźbione są z tą usilnością wydobycia cech indywidualnych, która przypomina dążenia średniowiecznej sztuki. Rzadko tu się spotyka nieokreślone, zamazane komunały bez wyraźnego typu i charakteru.

— To jest tak piękne, jak balet! — zawołał pewien turysta, patrząc na grupę młodych górali, smukłych, zgrabnych, ubranych w białe, wiszące na ramionach cuchy i białe obcisłe spodnie, znaczone granatowym i czerwonym sznurkiem.

Zdanie to, tak pochlebne dla baletu, zawiera w sobie o tyle prawdy, o ile człowiekowi, przywykłemu widzieć zręczne ruchy i piękne pozy tylko w teatrze, musi z konieczności teatr służyć za miarę piękna.

Zgrabność i piękno ruchów polega na ich zgodności z celem, w którym są wykonane. Ręka, podejmująca pióro, jeżeli napręża się i rusza z siłą nieodpowiednią dźwiganemu ciężarowi, robi wrażenie niedoświetła i niezręczności. Ciało, które opiera się na nogach bez wyraźnego oznaczenia równowagi i akcentowania punktu oporu, zdaje się ociężałym i niezgrabnym.

Górale, mając nadzwyczaj proporcjonalne członki, małe stopy i ręce, odznaczają się przytem niezwykłą zwinnością, lekkością i dobitnie akcentowaną celowością ruchów. Przymiotów tych nie można kłaść wyłącznie na karb warunków, w jakich żyją. Przy tych samych wpływach zewnętrznych Tyrolczycy (np. z okolic Meranu) są ciężcy i niezgrabni. Ręce i nogi ich nie mają nic elastyczności i ruszają się, jak drewniane pedały, a przecież tu i tam człowiek żyje nad przepaściami, wśród skał pionowych i stromych gładów.

Te same wpływy zewnętrzne w różnym stopniu oddziałują na różne rasy ludzi.

Szwaby ze Spiża jak niezdarnie i niezgrabnie chodzą, będąc jednak sąsiadami naszych górali.

Tak, to jest, jeżeli kto chce, piękne, „jak balet”, z dodaniem tylko prawdy, swobody, siły i szczerości — a bez mdłych całusów i umizgów sztucznych do widzów.

### **B. Górale i chłopi**

Chłop, który im był znany tylko jako leniwy parobek, lub sąsiad, wykradający las i wypasający zboże, jako niewolnik, całujący pokornie ręce i zawsze podejrzany o najlichsze instynkty, który mieszczuchom przedstawiał się jako kłótlivy dostawca fałszowanego mleka, jaj zgniłych i drzewa porąbanego na strzępy cynamonowe; który

zresztą mógł być przedmiotem zabawy, lecz nie zdawał się możliwym do wspólnego towarzyskiego życia, — chłop ten stanął nagle w postaci pięknej i bohaterskiej.

Kapelusz z kostkami, biała cucha, cyfrowane portki, świecąca spinka i ostra ciupaga roztkliwiły do łez sentymentalne i estetyczne instynkty filistrów i — otworzyły ich worki.

Z chłopem tym trzeba było żyć, trzeba go było szanować, ponieważ od niego się zależało i jemu tyle się zawdzięczało. On był mostem nad przepaściami, poręczą na skalnej grani, skrzydłem ponad otchłanią, której bezdnia mroczyła wzrok i ścinała krew w żyłach. Był on niańką dla ludzi zniedołężniałych w miejskim życiu lub wygodach zbytku; jego odwaga, przytomność umysłu, energia, wytrwałość, znajomość natury, spokój wobec niebezpieczeństwa i szybkość postanowienia zastępowały brak tych przymiotów u ludzi, którzy po raz pierwszy znajdowali się wśród tak niezwyklej i całkiem im nieznaney przyrody.

Chłop ten przytem nie był niczym poddanym. Rósł wolny i dziki i przy wszystkich formach unizoności zachowywał godność osobistą i hardość ducha. Szanował się i kazał siebie szanować, śpiewając tym, którzy mu chcieli imponować pańszczyznianemi narowami:

*Panowie, panowie, będziecie panami,  
Ale nie będziecie przewodzić nad nami.*

Zresztą czasy powstawania popularności górali przypadają na chwilę żywego rozbudzenia pojęć demokratycznych. „Zbliżyć się do ludu” zaczynało być w ogóle w modzie; cóż mówić o zbliżaniu się do ludu, którego umysłowe i towarzyskie przymioty, którego życie i postać były tak oryginalne, tak różne od zjawisk pospolitych, codziennych, ludu, który był częścią wspaniałej natury, był jakby jej duchem, fantastycznym tłumaczem jej piękna i potęgi, zdolnym opowiadaczem i twórcą legend; ludu, który miał w ogóle mnóstwo pysznych rasowych przymiotów.

### **C. Dolina Kościeliska**

Furmani w czas pogodny nie próżnują. Cale szeregi wozów trzęsą się po kamienistych drogach, głównie w stronę doliny Kościeliskiej.

Jest to wspaniała nawa gotyckiej katedry, której podłogą jest ruchomy kryształ potoku. Z dna jej wznoszą się skalne filary, pionowe ściany, kolumny, ozdobione gżemsami upłazów, z których, jak posągi, sterczą kamienne pióra. Spiczaste, symetryczne świerki pną się po szkarpach, złomach i przystawkach i wybiegają strzelistemi sylwetami aż ku stropowi, którym jest błękit nieba.

W górnej swej części dolina się rozszerza, otwierając dalsze i obszerniejsze widoki; z boków jej, jak kaplice, otwierają się bramy wąwozów, naw bocznych, Krakowa i innych. Dolina ta wywołała tyle zachwytów, tak w niej dusza każdego wędrowca „hipogryfuje na wykrzykniku”, że nie mówiąc już o poetach, którzy rymami sławili jej cuda, ale każdy nawet błędny filister stara się część swej rozentuzjasmowanej duszy tu zostawić.

Na próżno Towarzystwo Tatrzańskie, chcąc oduczyć turystów od pisania nazwisk, umieszcza na swoich altanach i schroniskach maksymę łacińską: Nomina stuitorum i t. d., — napróżno: każdy przechodzień musi się tu przypomnieć wdzięcznej potomności. Jest tu przecie skała tak spisana, że zapewne stąd nazywa się Pisaną.

Charakter gotycki, mniej lub więcej silnie zaznaczony, noszą wszystkie prawie wąwozy, mające ujście w dolinie Zakopanego. Są one drogami wód, które przed wiekami rozdarły łono gór i spłynęły w niziny i do dziś dnia pędzą temi samemi łożyskami.

Wąwozy owe pełne są tajemniczych zaułków, grot, leśnej cieśni, szumu potoków, słonecznych blasków i głębokich cieni. Woda wyżłabia w wapieniu dziwaczne cysterny, czary o kształtach zawiłych i krętych, w które wpadając, wiruje, usiana garściami słonecznego światła. Wąskie brzegi potoków kryją bujne liście podbiału; wielkie frendzle gencjany z liljowemi kwiatami zwisają z pod gałęzi pochyłych świerków. Wyżej piętrzy się szara, niedostępna skała, albo ciemne obszary lasów zalegają strome boki wąwozu. Ciągły przyciszony szum potoku wypełnia powietrze; las stoi niemy i nieruchomy; czasem wąska struga wiatru przychodzi skądś, czepia się jakiegoś jednego liścia podbiału i chwije nim, mającąc w słońcu białą jego podszewkę.

W wąwozach takich kryją się marzycielskie natury i ludzie stroniący od ludzi. Jest tam dla wszystkich miejsce.

W głębi doliny Strążyskiej, jak ołtarz, świeci w słońcu stroma turnia Giewontu, widna „piknie, od spodku do wirchu, jak do przezieradła!” Tam, pod krętymi, białemi konarami buku, potykając się na kamieniach, rozwydrzeni panowie tańczą nieraz kadryla lub mazura.

Ten Giewont tak popularny, na którego imię klną się wszyscy neofici taternictwa, którego szczyt i nos garbaty ozdabia rozmaite „Pamiętki z Zakopanego”, Giewont ten przedstawia się pod tysiącami postaciami: od szerokiej ściany do spiczastej, jak wieża gotycka, iglicy. Raz imponuje swoją szczytnością i powagą, to znowu zdaje się lichą turniczką, — wszystko tu, jak wszędzie zresztą, zależy od punktu widzenia.

Stojąc na jednym z gzemsów Nosala, na którym tak często świecą się czerwone spódnice i białe serdaki, można już doznawać wrażeń nadprzepaścistych.

Prosto z pod nóg urywa się przepaść ponad doliną Bystrej. Środkiem jej idzie szosa, wysadzana drzewami; po bokach rozbiegają się w białych pianach potoki, bieleją ściany kuźnic i starego dworu, nad nimi wznosi się czarna od lasu Krokiew, a wyżej, wsparta w ułaziste boki, ścięta piramida Giewontu ciemnieje poważnie na tle przesuwających się spodem białych obłoków.

(...)

#### D. Poezja Sabały

Pasterstwo, myślistwo, zbójnictwo są głównym tematem opowiadań Sabały, jak były wybitnymi przejawami życia górali. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł były temi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy, z którymi należało się przede wszystkim rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzyc z grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierząt dzikich, to się dobierało, „pożyczało” z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych baców.

Z drugiej strony lud ten, siedząc na pograniczu, wcześniej bardzo i jasno uświadomił swoją osobowość narodową, ponieważ jego sąsiedzi po tamtej stronie, którzy też „tęgie chłopcy bywają”, nie myśleli wcale darmo oddawać ani swoich wołów, ani owiec, ani „srybla” i w halach zawrzała nienawiść plemienna, będącą, niestety, dotąd jednym z koniecznych zdaje się pierwiastków narodowego wyodrębniania się.

Otóż z tych bitew homerycznych z Liptakami, z tych polowań na niedźwiedzie, z walki z tą całą naturą górską, z dziwnych obrazów pasterskiego życia, z legend i bajek, streszczających całą umysłowość górali, — z tych wszystkich motywów silnych i dzielnych składają się opowieści Sabały.

Pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia strzelca, ciągłego czuwania z odwiedzionymi kurkami, latania po wirchach, szybkości, z jaką przebiegają wypadki, — pomimo tego wszystkiego Sabała naturę obserwował, podpatrywał, zapamiętał tajemnice jej życia, ruchu, kształtu i barwy, stąd też jego mowa jest tak silną i obrazową.

Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi, i wonna zieleń smreków, i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych, — słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objaśnia, ozdabia i uplastycznia.

Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określeń jest niezrównana.

Prostota i wielka szczerść tej mowy robi to, że wszelkie fartuszki, narzucane przez konwenans na wyrazy, wydałyby się tu śmiesznymi. Sabała nazywa wszystko po imieniu, a nigdy jednak nie zdaje się być trywjalnym.

Nie mówiąc już o uroku, jaki ma sama przez się gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, gwara ta, użyta przez Sabałę, staje się czemś tak artystycznym, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonymi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy i świata zapomocą słowa.

Samo jednak słowo mu nie wystarcza. On nie tylko dobrze myśli; umie dobrze tę myśl wyrazić, on umie mówić — opowiadać; opowiadając, żyje życiem, które wspomina. Jego nieporównanie wyrazista i ruchliwa twarz mieni się wszystkimi odcieniami uczuć i tak, jak ton głosu, ilustruje wypadki, podkreśla spokój lub grozę położenia. Sabała w opowiadaniu jest i sobą, i niedźwiedziem, i orłem, i skałą, i Liptakiem, i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub wąż się, jak orle skrzydła, nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: „Do wirchu” — wznosząc oczy i palce ku górze — to się widzi szczyt zaoblony.

Sabała nigdy nie kłamie. Jego opowiadania nie są „szklarstwem”, obrachowaniem na wychwalanie i wynoszenie siebie nad innych. Nigdy nie wyciąga siebie na pierwszy plan, — on jest jednym z działaczy poematu, momentem akcji i nic więcej. Sprawiedliwość, z jaką wychwala czyny innych strzelców, pobłażanie, jakie ma dla tych, którym się nie powiodło, przytem sympatja dla młodszych, których dzielność go cieszy, usuwają z jego opowiadań to wszystko, coby je mogło uczynić natrętami i nudnemi.

Sabały opowiadań słucha się tak, jak się patrzy po wiele razy na dobry, niezmanierowany obraz, jak się czyta po wiele razy pieśni Homera, — z którymi mają one wiele wspólnego. Odrzuciwszy formę wiersza, której Sabała nie używa, to wszystko, co stanowi treść życia, ten materiał, z którego są zbudowane obrazy, w jednym i drugim wypadku są te same.

Przede wszystkim górską naturą prowadzi do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabały i u Homera jest tak podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów „Iliady” lub „Odyssei”, jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej, oprócz „złota i srebro”, których homerydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli.

Skala uczuć, poziom etyczny, stosunek do natury są tak dalece te same, że kiedyśmy raz, siedząc w zimie u ogniska w Roztoce, czytali „Odysseję” góralom, słuchali jej, jak opowiadał Sabała, i bawili się również dobrze, a nade wszystko sam Sabała niewymownie się cieszył z pomysłów Odysseusza.

Ponieważ to podobieństwo między treścią opowiadań Homera i Sabały mogłoby stanowić materiał osobnego studjum, nie chcę zajmować tu miejsca dalszym tej sprawy rozbiorem, zaznaczę tylko, iż wartość artystyczna Sabały opowiadań, podług mnie, nieczęsto ustępuje pieśniom Homera.

## E. Poczucie polskości

Górale nasi, w swoich zagonach po obszarze Tatr spotykali się od zachodu z Orawcami, z południa z Liptakami, a od wschodu ze Spiżakami. Siedząc na pograniczu, wyrobili sobie wczesnie pojęcie swojej odrębności narodowej, zacieśnionej jednak do obszaru Podhala. Lud polski w dolinach, to już w pojęciach górali nie „Poloki” — to „Lachy”.

Zresztą Chochołowianie i Zakopiańcy, a w tej liczbie Sabała, dowiedli przed pięćdziesięciu laty, że nawet w szerszym znaczeniu są w stanie pojmować swoje plemienne stanowisko — dowiedli tego, występując całkiem wbrew chęciom i planom pana Metternicha...

A że takie sąsiedztwo rzadko prowadzi do zgody i miłości, więc też na graniach wirchów granicznych uderzały się o siebie egoizmy tych małych narodków i wrzała plemienna nienawiść.

Zbójnickie wyprawy za Tatry, szukanie złota i s r y b ł a w beczkach liptowskich panów, pasterskie napady na orawskich i liptowskich wolarzy, walka kłusowników o zwierzynę — oto okazje, przy których załatwiano krwawe rachunki ze Złemi Ptakami, — jak, przekręcając złośliwie ich imię, ochrzczono Liptaków.

Oczywista rzecz, że po drugiej stronie Tatr odplacano się nie mniejszą nienawiścią i mszczono się przy okazji bez miłosierdzia. A że i „Luptaki bywają tęgie chłopcy” i bić się umieją, niejednego więc guza naszym Zakopiańcom nabili. Każdy czyn gwałtowny lub krwawy wywoływał taką samą odprawę.

## F. Kres lata

Krótkie lato tatrzańskie konało w jakichś konwulsjach powietrznych. Straszne nawałnice spadały nagle z wichrami tak szalonymi, że „widziało się, co świat urwie”. Powstawały gdzieś w górach i z hukiem grzmotów szły ku wschodowi i, znowu odparte od widnokregu, wracały ku Tatom z trzaskiem piorunów, które rozbijały się straszliwymi echem po turniach.

To znowu wypogadzało się niebo tak, że przez dni kilka na szklanej, błękitnej kopule nigdzie najmniejszej mgiełki nie można było dojrzeć. Powietrze przezroczyste, rzeźwe płynęło nad halami, przepojone zapachem świerków i potrawu łąk górskich, pachnącego, jak jakieś dziwne, egzotyczne kwiaty. Z tego powietrza, z tych zapachów, z tych barw i blasków bił jakiś czar dziwny, jakaś wesołość, nad którą nie można było zapanować, ani jej zrozumieć.

Zbliżała się pora halnych wichrów i gazdowie, których owies stał jeszcze „zieleniaty”, z trwogą patrzyli, czy go wiatr zniszczy, czy też śniegi zasypią. W nocy można było widzieć siedzących z kosami w ręku na przyzbach chałup, — tuż baby czekały, żeby łąpać z pod kosy garście i wiązać, aby wiatr nie uniósł. Te noce przed halnym wiatrem mają w sobie coś złowieszczonego.

Niebo czarne, jak aksamitna opona, na niem księżyc bez promieni, biały, ostry i gwiazdy migocące gwałtownie; ponad wirchami, daleko, małe łebki białych obłoków, jak ptaki burzy, lecą i przewalają się na miejscu; od czasu do czasu przylatuje od gór gorące tchnienie, a wprawne ucho dosłyszy daleki szum wichru, który się szarpie o szczyty.

Coraz puściej, coraz mniej przyjezdnych, a razem z nimi giną gdzieś i ci górale, których latem spotykało się co chwila.